

Dariusz Pawlicki

O bezkrytycznych krytykach

*Książka jest lustrem.
Kiedy staje przed lustrem osioł,
nie należy się spodziewać,
że ukaze się apostoł.*

Georg Christoph Lichtenberg

Krytyka literacka winna służyć budowaniu hierarchii w obrębie literatury: poczynając od dostrzegania i wskazywania na to, co jest w niej wartościowe, a co zasługuje na jak najszybsze zapomnienie; kończąc zaś na usytuowaniu owych pozytywnych w obrębie dotychczasowego dorobku literackiego. Za wspomnianym wartościowaniem nie stoi żadna metoda naukowo-badawcza (ta bowiem, w tym wypadku nie istnieje), ale przekonanie ideowo-artystyczne żywione przez każdego z krytyków literackich, także recenzentów. Nie sposób więc mówić o kryteriach obiektywnych. Budowanie hierarchii literackiej w każdym przypadku ma charakter indywidualny/osobisty. Nie wyklucza to jednak punktów wspólnych. Krytycy literaccy, jak i recenzenci, co do pewnych utworów i autorów, bywają zgodni. A na to czy ta, czy inna hierarchia stanie się obowiązująca – chociażby w postaci listy lektur – wpływ ma umiejętność krytyka przekonywania innych do swych poglądów, pozyskiwania ludzi, którzy podejmują decyzje. Bycie tzw. osobą medialną, jak też kimś z kogo zdaniem liczą się inni, też temu bardzo sprzyja. Gdy ta czy inna hierarchia stanie się dominująca – jeszcze niedawno była to kwestia dziesięcioleci – będzie można mówić o kanonie. Niejednokrotnie na ten proces wpływają – zakłócając go – rozmaite ideologie, np. komunizm, feminizm. Wtedy to wielką rolę odgrywają czynniki inne niż artystyczne.

O tworzeniu takich kanonów w obrębie poszczególnych literatur, jak też w literaturze światowej, Roger Scruton tak napisał obrazowo:

„[...] krytycy walczą o swoich faworytów i pomniejszają znaczenie ulubionych dzieł innych krytyków. Ta bitwa o kanon jest jednak elementem kanonu: tradycja jest pokłosiem konfliktów krytyków, tym, co pozostaje, kiedy wojenny zgiełk ustąpi miejsca odgłosom z sali lekcyjnej” (*Kultura jest ważna*).

Problem, który dotyka współczesną literaturę polską, łączy się ze stanem krytyki. A mówiąc dokładniej: brakiem takowej (to zaś powoduje, że tworzenie hierarchii, nie mówiąc o jednej, jest obecnie wyjątkowo utrudnione, może nawet niemożliwe). I ma to miejsce w sytuacji, gdy nie brakuje osób mówiących o sobie: jestem krytykiem literackim/jestem recenzentem literackim. Często przybiera to jednak postać eufemistyczną: zajmuję się krytyką (efekt zawstydzenia?). Równocześnie ocen utworów literackich powstaje bardzo

wiele. Lecz problem polega na tym, że w ogromnej większości są one pozytywne (odnoszę wręcz wrażenie, że innych nie ma). Z nich można dowiedzieć się o kolejnej książce, która jeśli nie jest tą, na którą czekał świat, to z całą pewnością zasługuje na uwagę. Natomiast czymś niezmiernie rzadkim, nie sądzę, abym tylko ja miał takie (wątpliwe) szczęście, są wzmianki o utworach literackich zasługujących na ostrą „reprimendę” bądź wręcz na niepamiętanie. Jakby takowe w ogóle nie istniały, jakby na współczesną literaturę polską składały się same arcydzieła. A przecież wiemy, gdyż inaczej być nie może, że tak nie jest (tu, jak i gdziekolwiek indziej na Świecie).

O osobach piszących wyłącznie pozytywnie o przeczytanych książkach, nie można twierdzić, że uprawiają krytykę literacką; jak i to, że są recenzentami. I ci pierwsi, i ci drudzy zasługują na miano bezkrytyków/chwalców. Ów powszechny zachwyt, z jednej strony wynika z tego, że recenzje np. książek poetyckich czy beletrystycznych piszą też poeci i prozaicy (rozmaitych maści). W takich sytuacjach nabieram podejrzenia, że powstają one na zasadzie: ja dobrze o tobie dziś, a ty o mnie jutro. Na takie zaś podejście wpływ może mieć obawa przed przeczytaniem czegoś negatywnego o sobie. Wobec czego pisze się pozytywnie o innych, aby, broń Boże, kogoś nie sprokocować do reakcji, która mogłaby być przyczyną bezsennej nocy, oby tylko jednej, autora ocenionej negatywnie książki (jak mogłeś? Ja o tobie dobrze, a ty...). Najpewniej dają często o sobie znać źle pojęte... lojalność i litość. Źle pojęte, gdyż utwierdzają autora w jego poczynaniach, a ewentualnych czytelników – wprowadzają w błąd. Nie można wykluczyć i tego, że w grę wchodzi również problem związany z formułowaniem opinii negatywnych, jako takich. Rajmund Kalicki tak to ujął:

„[...] większość ludzi jest niezdolna do samodzielnej oceny tego, co czyta. Dotyczy to zresztą także krytyków, ci woła dywagować zamiast osądzać, boją się jasno powiedzieć, ile jest warte to, o czym rozprawiają. Nie czują się widocznie partnerami w pisaniu. Może i słusznie”. (Ze wstępu do zbioru listów Jana Darowskiego, „Twórczość”, nr 6/2015).

W kulturze, a więc i w literaturze, zawsze funkcjonowały hierarchie i autorytety. To fakt, że ich żywot niejednokrotnie nie był długi, ale one były zawsze. Wspominając o tym, jedynie nawołuję do kontynuowania tej tradycji. Nie tylko z podanego powyżej powodu – potrzeby/konieczności wartościowania. Także dlatego, aby dać odpór postmodernizmowi – kolejnemu „wynałazkowi” niszczylieli kultury, którą nazwę tradycyjną. On to, od kilkudziesięciu ostatnich lat, ustami i piórami swych wyznawców, głosi, że nic nie jest pewne, wszystko jest bowiem względne, subiektywne. W

konsekwencji czego, nie można, chociażby, niczego wartościować, gdyż wszystko (jako-by) jest równie wartościowe. Gdyby chodziło tylko o głoszenie tych banialuków przy kawiarzanych stolikach, można byłoby się uśmiechnąć z politowaniem. Rzecz jednak w tym, że nie ma powodów do żartów, jako że za tym poglądem (nie nazywam go filozoficznym, gdyż za taki go nie uważam) stoją opiniotwórcze środowiska lewicowe związane ze światem akademickim. To za ich sprawą postmodernizm zatacza coraz szersze niszczylielskie kręgi. Jest jak kosiarz ścinający kolejny, coraz marniejszy pokos trawy dla królików umieszczonych w klatkach.

Owej bezkrytyczności / temu niewartościowaniu sprzyja – choć na ułomność ludzkich charakterów zwracam uwagę szczególnie – sytuacja na rynku czasopism literackich (bez względu na to czy mowa o pismach papierowych, czy elektronicznych). Obecnie, a mam na myśli obraz naszego kraju po 1989 r. (choć poprzedni system w pewnych aspektach, także tych związanych z kulturą, trwał jeszcze przez kilka lat), pisma, przy znacznie zmniejszonych nakładach, jeżeli są ogólnokrajowe, to zasługują na to miano tylko z tego względu, że ich sprzedaż ma miejsce na terenie całej Polski (w niewielu jednak punktach). Natomiast ich zawartość – na skutek większej konkurencji będącej wynikiem zmniejszenia pola działania – jest odbiciem powiązań koleżeńskich. Trudno w takiej sytuacji mówić o, choćby próbach, obiektywizacji zjawisk życia literackiego. W rezultacie czego, nie pozostaje mi nic innego, jak zgodzić się ze stwierdzeniem wyrażonym przez Jana Darowskiego: „W Polsce nie liczy się jakość, liczy się *czyjóść*”. (W liście do Rajmunda Kalickiego).

Ktoś nie znający realiów związanych ze światem literackim, z pewnych zjawisk nie zdaje sobie w ogóle sprawy. Będzie więc zaskoczony informacją, że niektóre recenzje powstają na zasadzie obstalunku (jakby zamawiało się buty). A gdy dowie się o tym, już może sam dojdzie do przekonania, że recenzent – licząc na dalsze zamówienia, z czym wiąże się zarobek – negatywnej opinii o książce nie napisze. Jeśli zaś to uczyni, wydawnictwo – ze zrozumiiałych względów – jej nie wykorzystają. A kolejnej już u niego nie obstaruje. Zresztą płacenie honorariów za recenzje (jeśli w ogóle wchodzi w grę) nie dotyczy tylko oficyn wydawniczych. Niekiedy płacą je także sami autorzy, zwłaszcza poeci. Chyba po to, aby, gdy recenzja jest pozytywna (z inną nie będą przecież się obnosić), a jej autor znany, móc powiedzieć: „A pani X jest innego zdania!” (i trzasnąć drzwiami za sobą).

(Dokończenie na stronie 24)